

# Stanisław Mikke

---

## Takie i inne

---

Palestra 40/11-12(467-468), 51-53

---

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



---

STANISŁAW MIKKE

## Takie i inne

Jedna ze studenckich koleżanek po przeczytaniu mego felietonu opublikowanego w poprzednim numerze, powiedziała, że opisana tam postać egzaminatora, który nadaremnie usiłował wyegzekwować od studentów odpowiedź na pytanie o autora pojęcia „dyktatura proletariatu”, przypomniała jej o pewnym incydencie z tym właśnie docentem-pułkownikiem. Otóż na prośbę kolegi, który oblał trzy egzaminy, w tym jeden u owego docenta, odegrała zawstydzającą rolę. „Wyznała” temuż pracownikowi naukowemu oczywistą nieprawdę, że jest w ciąży z pechowym studentem, dziś szacownym i znanym prawnikiem. Prosiła błagalnie o ponowne przeegzaminowanie swego rzekomego najdroższego.

Docent bardzo przejął się sytuacją obojga młodych. Długo rozmawiał z symulującą przyszłe macierzyństwo. Mówił o odpowiedzialności za dziecko i przyszłą rodzinę. Nie doradzał zabiegu przerwania

ciąży, nie potępiał lekkomyślnej miłości. Niezwłocznie też przyjął studenta, był dla niego uosobieniem łagodności i wyrozumiałości. Egzamin, rzecz jasna, zakończył się pozytywną oceną.

Dopisując co nieco do konterfektu docenta-pułkownika, którego tak negatywnie scharakteryzowałem poprzednio, wypada powiedzieć, jak zakończył się egzamin, podczas którego na pytanie o autora marksistowskiego pojęcia strzelaliśmy Stalinem, Dzierżyńskim i Leninem. Dwóch, z nas sześciu, coś tam na inne pytania jednak wydukało. Na pozostałych docent wydał wyrok i wskazującemu palcowi czterokrotnie towarzyszyło głośne: „dwa”.

Wtedy zapłakała jedyna wśród nas dziewczyna. To miała być jej trzecia ocena niedostateczna i tym samym pożegnanie z uczelnią.

Docent sięgnął po indeksy. Zdawał się być nieprzejeđnany.

– Trudno, trzeba było się uczyć – rzu-

cił odkręcając pióro. – Są dla kobiet inne, piękne zajęcia – dodał.

Placz przeszedł w szloch.

– Proszę pani – rzekł twardo, po wojskowemu, docent. – Nie znoszę hysterii. A ponadto nie robię wyjątków. Żadnych. Ani ze względu na płeć, ani na urodę. Byłoby to bowiem – docent zerknął na koleżankę, której, to dobrze pamiętam, jedynym atutem był wdzięk młodości – jawną niesprawiedliwością nie wstać dwóji pani, a wpisać je tym trzem gentelmenom. I pani, i oni na ocenę niedostateczną zasłużyliście sobie jednako, nie tylko nieuctwem. Także bezczelnością, by przychodzić do tego stopnia nieprzygotowanymi.

Na to zareagował jeden z egzaminowanych studentów, który co prawda później studia skończył, ale karierę zrobił w dość odległej od prawa dziedzinie. Trudno powiedzieć czy popisał się wówczas bardziej inteligencją, czy raczej sprytem.

– Panie docencie – rozpoczął tonem poważnym. – Nasza koleżanka jest w szczególnie trudnej, rzekłbym, dramatycznej sytuacji. Oświadczam i sądzę, że mówię to w imieniu kolegów, których niewątpliwie słusznie ocenił pan negatywnie, że nie będziemy mieć żadnej pretensji. Powiem więcej. Prosimy wpisać nam dwójki, a oszczędzić koleżankę.

– Czy pytałem pana o zdanie? – wrzasnęła docent. – Czy udzieliłem panu głosu?

Po jego reakcji było już widać, że zlituje się nad całą czwórka. I tak się też stało.

Te wywołane z pamięci egzaminacyjne epizody przypomniały mi opowieść starszego ode mnie prawnika, który wraz z kolegami wcześniej zdawał egzamin z tego samego przedmiotu u profesora Manfreda Lachsa, człowieka niepospolitych walorów intelektualnych. Zmuszony do egzamino-

wania studentów siedział ponoć zawsze skrajnie znużony, wsparty na ręce, z przymkniętymi oczami. Podczas jednego z takich odpytywań zmęczonym głosem zadał jednemu ze studentów pytanie:

– Co pan może powiedzieć o ustroju kapitalistycznym?

Wywołany spojrział na zegarek. Wydobył z siebie jakieś „hm”. Odsunął rękę, wpatrywał się w tarczę zegarka, jakby coś sprawdzał, coś liczył.

Profesor nie słysząc żadnej odpowiedzi szerzej otworzył oczy. Przypatrywał się zachowaniu studenta, który przesunął rękę z zegarkiem ku światłu i dalej wpatrując się w jego wskazówki chrząkał, jakby ważąc odpowiedź.

To egzaminatorowi wystarczyło. Poprosił studenta o indeks i bez jednego słowa wpisał ocenę bardzo dobrą. Obaj panowie spotkali się na wyżynach swych inteligencji. Student patrząc znacząco na zegarek po usłyszeniu pytania o kapitalizm (rzecz jasna w ujęciu teorii marksizmu-leninizmu) udzielił niemej, żartobliwej odpowiedzi, że godziny tego ustroju są policzone. Profesor, późniejszy długoletni Prezes Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze, odpowiedź w mig zrozumiał i uznał ją za przejaw inteligencji wartę nagrodzenia. Należy się tylko domyślać, że zachował się tak również z powodu, oględnie mówiąc, dystansu, jaki musiał być jego udziałem, do teorii, której niestety z takich czy innych względów nauczał.

Z „takich i innych” przyczyn wielu w minionym okresie robiło coś, czym w gruncie rzeczy gardziło. Być może poglądy daleko odbiegające od oficjalnych przechowywał w głębi duszy też i docent-pułkownik, uchodzący za ortodoksyjnego komunistę. Kto wie, czy nie

tym właśnie należałoby tłumaczyć jego „miękkie” serce.

Nie zamierzam wartościować takich postaw. Ani rozważać, do czego one w konsekwencji prowadziły, bo szkody społeczne trudne są dziś do oszacowania.

Dlatego odnotuję tylko jeszcze jeden sygnał o takiej rozbieżności między „zewnątrznym zachowaniem” a tym, co jeszcze tkwiło gdzieś w środku.

W czasach siermiężnego komunizmu znalazłem się w pewnym wydawnictwie przed emerytowanym wysokim oficerem wojska. Przyszedłem z propozycją napisania faktograficznej książki o wydarzeniach Września 1939 r. Zostałem przyjęty uprzejmie, ale byłem wysłuchiwany nie wzbudzając najmniejszego entuzjazmu. W końcu rozmowa z inicjatywy mego rozmówcy zesłała na inne tematy. Zapaliłem się, pamiętam, podczas tamtej rozmowy i w pewnej chwili zacząłem opowiadać prawdziwą historię, o jakiej usłyszałem. Że, być może, grzebię szanse na podpisanie umowy wydawniczej, pomyślałem dopiero wtedy, gdy nie sposób było opowieści nie dokończyć.

Rzecz działa się w Edynburgu, gdzie osiadł po wojnie zmarły niedawno generał Stanisław Maczek, legendarny dowódca I Dywizji Pancerniej. Minęło 25 lat od zakończenia wojny. Odbywał się ślub córki jednego z oficerów generała. Do odległego od centrum miasta kościoła licznie przybyli dawni towarzysze broni ojca panny młodej. Także generał Maczek z małżonką.

Po ślubnej ceremonii część gości rozjechała się, inni zaś udali się na wesele do jednego z najlepszych hoteli. Ten, który mi to opowiadał, też żołnierz generała, nie był zaproszony na drugą uroczystość. Pozostał nieco dłużej w kościele, oglądając

oryginalną architekturę. Gdy wreszcie wyszedł na zewnątrz, zobaczył stojącego samotnie, zakłopotanego generała Maczka.

– Pan generał nie pojechał na przyjęcie? – zapytał zaskoczony.

Stary już wówczas generał wzruszył ramionami:

– Zaproszenie mamy. Ale niech pan sobie wyobrazi... Zapomnieli o mnie. A samochodu nie mam, bo jak pan wie, nie stać mnie na taki wydatek.

Opowiadałem swojemu rozmówcy w wydawnictwie, jak to były żołnierz generała zawiózł Go wraz z żoną do hotelu, jak przed oświetlonymi schodami zawołał do portierów w liberii, którzy natychmiast wyprężyli się na baczność: „Idzie polski generał!”, i wreszcie o tym, jak wzruszony Stanisław Maczek, odwrócił się na schodach i powiedział.

– Dziękuję panu, panie podchorąży.

Ku niemałemu zaskoczeniu zobaczyłem, że oficerowi Ludowego Wojska Polskiego, którego postawiono na ważnym stanowisku w wydawnictwie, by pilnował właściwej linii, by było jak najmniej o Wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, jak najmniej o AK, a jak najwięcej o GL i AL, jak właśnie jemu zwilgotniały oczy.

Umowę wydawniczą podpisałem wkrótce. I do dziś nie wiem, czy napisanie książki o bohaterach Września i jej wydanie zawdzięczam takiemu, a nie innemu, przebiegowi tamtej rozmowy. Ilu jednak nie miało takiego szczęścia? Jak wiele być może wspaniałych książek wtedy nie powstało i już nigdy nie zostanie napisanych, bowiem na czele wydawnictw stali tacy a nie inni ludzie? Patrząc wstecz nie wolno uciekać od podobnych pytań, aby nie zanikła pamięć o faktach rzeczywistych, które zaważyły nie tylko na jednostkowych losach.